Język władzy: Glottopolityka i kompetencje komunikacyjne w nowożytnej dyplomacji na przykładzie książki Gleba Kazakova

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje mechanizmy sprawczości w nowożytnej dyplomacji, przesuwając punkt ciężkości z oficjalnych traktatów na praktyki komunikacyjne i społeczne. Opierając się na publikacji Gleba Kajakowa, autor ukazuje język nie tylko jako środek przekazu, ale jako pole walki o wpływy i suwerenność symboliczną. Tekst omawia zjawisko glottopolityki, w której wybór konkretnego idiomu – od łaciny i francuszczyzny po języki narodowe – definiował status dyplomaty oraz relacje między państwami. Dyplomata jawi się tu jako „człowiek wielu kodów", dla którego biegłość lingwistyczna stanowiła kluczowy kapitał polityczny, pozwalający nawigować w gęstej sieci rytuałów i zależności dworskich, gdzie język pełnił funkcję zarówno narzędzia operacyjnego, jak i symbolicznego sztandaru władzy.

The article analyzes the mechanisms of agency in early modern diplomacy, shifting the focus from official treaties to communicative and social practices. Drawing on the publication by Gleb Kazakov, the author presents language not only as a means of transmission, but as a battlefield for influence and symbolic sovereignty. The text discusses the phenomenon of glottopolitics, in which the choice of a specific idiom—from Latin and French to national languages—defined the diplomat's status and the relations between states. Here, the diplomat appears as a 'man of many codes,' for whom linguistic proficiency constituted key political capital, allowing them to navigate the dense network of court rituals and dependencies, where language functioned both as an operational tool and as a symbolic banner of power.

Artykuł analizuje nowożytną dyplomację nie jako zbiór traktatów, lecz jako dynamiczną grę kodów językowych, w której biegłość lingwistyczna stanowiła realny kapitał polityczny i narzędzie sprawczości. Autor stawia tezę, że język w epoce nowożytnej nie był neutralnym przekaźnikiem informacji, lecz instrumentem władzy, który decydował o widzialności politycznej dyplomaty oraz legitymizacji państwa na arenie międzynarodowej. Tekst bada napięcia między tradycyjną łaciną, prestiżową francuszczyzną a rodzącymi się językami narodowymi, ukazując, jak strategiczne przełączanie tych kodów pozwalało budować nieformalne sieci wpływów i omijać bariery stanowe. Na przykładach Prus, Szwecji, Hiszpanii oraz wczesnej dyplomacji USA (kontrastując postacie Benjamina Franklina i Williama Lee), autor dowodzi, że suwerenność polityczna wymaga sprawności semiotycznej. Zdolność do nawigowania między językiem majestatu a językiem operacyjnym pozwalała państwom nie tylko komunikować swoje interesy, ale przede wszystkim definiować własną podmiotowość w świecie zdominowanym przez obce normy kulturowe.

SŁOWA KLUCZOWE

glottopolityka | kompetencje komunikacyjne | nowożytna dyplomacja | Gleb Kazakov | kapitał polityczny | Nowa Historia Dyplomacji | prestige language | diglosja | sprawność semiotyczna | suwerenność symboliczna | ekologia języków | poliglotyzm dyplomatyczny | legitymizacja suwerenności | korekta normatywna | infrastruktura władzy

Język jako mechanizm sprawczości i kapitał polityczny

Dyplomata jako człowiek języka. Władza zaczyna się od tego, kto rozumie rozmowy. Historię dyplomacji często opowiada się tak, jakby państwa komunikowały się bezpośrednio: Francja żądała, Prusy odpowiadały, Hiszpania protestowała, Szwecja instruowała, Rosja raportowała, a Stany Zjednoczone zabiegały o uznanie.

Ten skrót jest wygodny, lecz fałszuje najciekawszą warstwę zjawiska. Państwa nie mówią – mówią ludzie. Mówią ambasadorowie, posłowie, sekretarze, tłumacze, skrybowie i doradcy; saloniści, żony dyplomatów, kupcy, agenci, szpiedzy, dragomani, guwernerzy oraz pośrednicy, których nazwisk

rzadko pamięta wielka synteza polityczna. Skoro zatem mówią ludzie, pytanie o język nie jest jedynie dodatkiem do dyplomacji, lecz pytaniem o sam mechanizm sprawczości.

Właśnie dlatego współczesne badania nad dyplomacją coraz częściej odchodzą od ujęcia skupionego wyłącznie na traktatach, instrukcjach i oficjalnych stanowiskach dworów. Perspektywa Nowej Historii Dyplomacji przesuwa uwagę ku praktykom społecznym, kulturowym i komunikacyjnym. W jej świetle dyplomacja nie jest tylko procedurą państwową, lecz gęstą siecią zachowań, rytuałów, kompetencji, zależności i symbolicznych przewag. Książka "Languages of Diplomacy in the Early Modern World: Europe and the USA" pod redakcją Gleba Kazakova i Vladislava Rjéoutskiego została opisana przez wydawcę jako studium głównych trendów użycia języków przez dyplomatów epoki nowożytnej, przede wszystkim w kontekście europejskim, poprzez studia przypadków i regionalne tradycje dyplomatyczne. To istotne, gdyż taki punkt widzenia pozwala dostrzec, że w epoce nowożytnej język nie był tylko środkiem przekazywania decyzji, lecz polem, na którym te decyzje stawały się możliwe. Nieprzypadkowo Peter Burke, jeden z najważniejszych patronów społecznej historii języka, żartobliwie zauważył, że historia języka jest zbyt ważna, by pozostawić ją samym językoznawcom. Sens tej uwagi nie polega na lekceważeniu lingwistyki, lecz na odrzuceniu fikcji, jakoby język żył w izolacji od społeczeństwa. Język jest instytucją bez marmuru, konstytucją bez artykułów, protokołem bez pieczęci.

Wskazuje on, kto należy do kręgu wtajemniczonych, kto mówi jak równy z równym, kto prosi o przekład, a kto narzuca innym swój idiom. W dyplomacji nowożytnej ta prawda była szczególnie widoczna, ponieważ Europa nie stanowiła jednolitego systemu językowego. Była raczej wielką mapą nakładających się kodów. Łacina trwała jako język uczonych, prawa, tradycji traktatowej i kościelno-akademickiej uniwersalności. Niemiecki zachowywał znaczenie w przestrzeni Rzeszy i administracji środkowoeuropejskiej, natomiast włoski funkcjonował w muzyce, handlu, dyplomacji śródziemnomorskiej i kontaktach operacyjnych.

Hiszpański był językiem imperium, którego polityczna pozycja słabła, lecz symboliczna duma nie zamierzała abdykować. Rosyjski, szwedzki i inne języki wernakularne zyskiwały rangę znaków suwerennej administracji. Nad tym wszystkim coraz mocniej unosiła się francuszczyzna – język salonu, poloru, dworskiej zręczności, europejskiego prestiżu i oświeceniowej autoprezentacji. Jednak stwierdzenie, że "francuski zwyciężył łacinę", jest zbyt proste; nadaje się na szkolną fiszkę, nie na rzetelne rozumienie historii. Proces ten był nierówny, lokalny, negocjowany i często sprzeczny.

W jednym kontekście francuski stanowił język wysoki, znak cywilizacyjnego obycia. W innym był językiem roboczym, wygodnym narzędziem komunikacji między elitami różnych dworów. Gdzie indziej mógł być postrzegany jako podejrzany znak uległości wobec obcego wzorca. Z kolei język

narodowy bywał raz naturalnym medium raportu do monarchy, a raz świadomą deklaracją: "nie jesteśmy dodatkiem do cudzej cywilizacji; mamy własny głos". W tym miejscu zaczyna się glottopolityka – polityka języka rozumiana nie jako reforma ortografii, lecz jako walka o społeczny rozkład prawa do mówienia. Glottopolityka dyplomatyczna odpowiadała na konkretne pytania: w jakim języku dyplomata pisze do monarchy? W jakim rozmawia z ministrem obcego dworu? W jakim sporządza raport, a w jakim dopisek prywatny? W jakim szyfruje informację i w jakim przeprasza za użycie niewłaściwego idiomu? Każda z tych decyzji niosła konsekwencje.

Jeżeli dyplomata pisał do własnego władcy po francusku, mógł demonstrować europejskie obycie, lecz ryzykował oskarżenie o brak lojalności wobec języka państwa. Pisząc po szwedzku, rosyjsku czy hiszpańsku, wzmacniał suwerenność symboliczną, choć czasem ograniczał płynność komunikacji. Język był więc jednocześnie narzędziem i sztandarem. A sztandarem, jak wiadomo, można także zasłonić brak armat - albo brak argumentów. W epoce nowożytnej dyplomata idealny nie był wyłącznie posłańcem, elegantem czy urzędnikiem – był człowiekiem wielu kodów.

François de Callières, klasyk refleksji dyplomatycznej z początku XVIII wieku, traktował negocjowanie z władcami jako sztukę wymagającą szczególnych kwalifikacji osobistych i zawodowych; jego dzieło "On the Manner of Negotiating with Princes" uchodzi za jeden z kanonicznych tekstów nowożytnej teorii dyplomacji. Z notatki źródłowej wynika, że w ówczesnym ideale dyplomaty mieściła się poliglotyczność: znajomość francuskiego, niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego i łaciny nie była ozdobą edukacji, lecz elementem zawodowej skuteczności. Dlaczego? Ponieważ dyplomacja nie rozgrywała się wyłącznie przy stole rokowań. Gdyby sprowadzała się ona tylko do podpisania tekstu traktatu, wystarczyłby notariusz z dobrym słownikiem.

Język jako klucz do nieformalnej infrastruktury władzy

Najważniejsze sprawy działy się jednak często wcześniej: w salonach, przy kolacji, podczas spacerów czy w lożach teatralnych; w prywatnej korespondencji, żartach i aluzjach, a nawet w pozornie nieistotnych rozmowach. Kto nie rozumiał języka, ten nie rozumiał półcieni. A w dyplomacji półcień bywa ważniejszy niż deklaracja. Ta pierwsza mówi bowiem to, co państwo może ogłosić publicznie; ten drugi zdradza, co naprawdę zamierza. Kompetencja językowa stawała się zatem realnym kapitałem politycznym.

Pozwalała budować sieci kontaktów bez pośredników i czerpać informacje nie tylko z dokumentów, ale z tonu głosu, gestu, ironii czy przemilczenia. Umożliwiała prowadzenie tajnych rozmów bez ryzyka, że tłumacz stanie się filtrem, świadkiem lub – w najgorszym razie – drugim adresatem

przekazu. Chroniła przed błędami interpretacyjnymi, które w dyplomacji mogły kosztować nie tylko reputację, lecz pokój, sojusz albo prowincję. Język dawał dostęp do tego, co można nazwać nieformalną infrastrukturą władzy. Bez niej ambasador mógł posiadać rangę, ale nie mieć realnego wpływu.

Przykłady z materiałów źródłowych dowodzą, że poliglotyzm był czymś więcej niż narzędziem komunikacji – stanowił windą społeczną. Baron Sigismund von Herberstein, wychowany w wielojęzycznym środowisku pogranicza słowiańsko-niemieckiego, wykorzystał znajomość języków słowiańskich, łaciny, niemieckiego i włoskiego podczas licznych misji w Europie i na Wschodzie. Constantijn Huygens, holenderski humanista i dyplomata, łączył erudycję z praktyczną biegłością w kilku językach. Z kolei dyplomaci miast hanzeatyckich traktowali wykształcenie mieszczańskie i uniwersyteckie jako alternatywny kapitał wobec arystokratycznego urodzenia. Podobnie bracia Simolinowie, synowie szwedzkiego pastora z Rewla, dzięki znajomości języków zbudowali karierę w dyplomacji rosyjskiej, niwelując różnice stanowe względem arystokracji.

Język jako narzędzie inkluzji i wykluczenia sprawczego

To kwestia kluczowa. Język w świecie stanowym mógł działać jak fałszywy herb – fałszywy jedynie w oczach genealogów, lecz w praktyce całkowicie autentyczny. Kto mówił i pisał jak elita oraz rozumiał jej kody, mógł zostać dopuszczony do gry mimo braków w rodowodzie. Nie znosiło to hierarchii społecznych, a raczej tworzyło w nich szczeliny. Poliglota nie burzył murów arystokracji; znajdował w nich boczne wejście. Dyplomacja, zawsze potrzebująca ludzi użytecznych, bywała w tym względzie bardziej pragmatyczna niż salony genealogiczne.

Wyróżnić należy dwa rodzaje przewagi językowej. Pierwsza to przewaga techniczna: umiejętność porozumienia się bez tłumacza, przeczytania dokumentu, zrozumienia instrukcji czy napisania raportu. Druga to przewaga kulturowa: wiedza o tym, kiedy żart jest żartem, komplement obietnicą, a milczenie odmową; świadomość tego, kiedy zmiana języka oznacza zmianę rejestru rozmowy, a kiedy staje się celowym upokorzeniem rozmówcy. Ta druga przewaga jest głębsza.

Można znać słowa, nie znając świata, który je wytworzył. Można mówić poprawnie i wciąż brzmieć jak intruz. Można też – jak Benjamin Franklin – mówić nieidealnie, lecz rozumieć teatr sytuacji na tyle dobrze, by własną niedoskonałość przekuć w atut. Tu objawia się jeden z najciekawszych paradoksów dyplomacji językowej: nie zawsze wygrywa ten, kto mówi perfekcyjnie. Czasem zwycięża ten, kto rozumie społeczną funkcję własnego akcentu, błędu czy uproszczenia.

Franklin w Paryżu nie był wzorem akademickiej francuszczyzny, lecz potrafił uczynić z tego element republikańskiej autokreacji: kreślić obraz człowieka prostoty, cnoty i naturalności, zdystansowanego wobec dworskiego przepychu. Jego „zły francuski" nie zamknął przed nim salonów; stał się częścią spektaklu autentyczności. Z kolei William Lee w Wiedniu, pozbawiony znajomości francuskiego i niemieckiego, nie zdołał wejść w obieg rozmowy. Zderzył się z dworem jak człowiek, który przyniósł klucz do zamka, lecz nie znał języka instrukcji obsługi bramy. Przypadek Lee obnaża brutalną prawdę: formalne uznanie dyplomaty nie wystarcza, jeśli brakuje mu uznania komunikacyjnego. Można być wysłannikiem państwa i jednocześnie nie uczestniczyć w rozmowie. Można posiadać mandat, lecz nie mieć dostępu; stać w centrum wydarzeń i pozostawać politycznie niewidzialnym.

W świecie dworskim, gdzie decyzje dojrzewały w sieciach towarzyskich, brak języka oznaczał brak obecności – nie tej fizycznej, lecz sprawczej. Język komunikacji stawał się zatem elementem władczym. Nie tylko opisywał władzę, ale ją rozdzielał, ustanawiając progi wejścia i decydując, kto jest partnerem, kto petentem, pośrednikiem, a kto jedynie dekoracją protokołu. Siła języka polegała na tym, że nie musiała on manifestować się jako przemoc. Wystarczyło, że rozmowa toczyła się w kodzie nieznanym jednej ze stron. Wtedy nierówność pojawiała się sama, elegancko, bez huku dział i bez rozlewu atramentu. Ot, salonowy aksamit na żelaznej konstrukcji.

Francuszczyzna jako żywy paszport do elit

Od łaciny do francuszczyzny: jak Europa zmieniła język swojej władzy. Łacina nie została wyparta z dyplomacji dlatego, że nagle stała się językiem martwym. To uproszczenie przydatne w podręcznikowej osi czasu, lecz szkodliwe dla rozumienia historii. Przez wieki pozostawała ona językiem prawa, traktatu, uczoności i teologii; była medium uniwersytetów oraz ponadlokalnej komunikacji elit. Jej siła tkwiła właśnie w tym, że nie należała do żadnego z nowożytnych państw. Stanowiła dziedzictwo dawnego świata wspólnoty chrześcijańsko-rzymskiej – znak ciągłości, formy i normy.

W dyplomacji zapewniała pozór neutralności, gdyż nie była ani francuska, ani hiszpańska, ani szwedzka, ani pruska. Posiadała autorytet języka unoszącego się ponad aktualną rywalizacją monarchów. Jednak historia nie znosi pustych tronów. Tam, gdzie dawny autorytet przestaje organizować realne stosunki władzy, wchodzi język zwycięskiej praktyki. Łacina stawała się coraz mniej narzędziem żywej socjabilności politycznej, a coraz bardziej językiem ceremoniału, kancelarii i tradycji. Nadawała się do utrwalenia formuły, lecz zawodziła w prowadzeniu dynamicznej gry dworskiej. Nowożytny świat potrzebował kodu, w którym można negocjować nie tylko paragrafy

traktatu, ale także reputację, aluzję, sekret czy polityczny flirt – ton półoficjalnej rozmowy i kulturowy styl elity. Tę przestrzeń stopniowo zajmowała francuszczyzna.

Francuski awansował nie tylko dlatego, że Francja była potęgą. Choć to istotne, jest to niewystarczające; siła polityczna wspiera język, lecz sama w sobie nie tworzy trwałej hegemonii kulturowej. Francuszczyzna stała się językiem dyplomacji, ponieważ skumulowała w sobie kilka funkcji: była mową dworu i salonu, wyznacznikiem arystokratycznej ogłady, literackiego prestiżu oraz oświeceniowego uniwersalizmu. Stała się narzędziem uczestnictwa w europejskiej kulturze wysokiej. Francuski nie tyle zastąpił łacinę jako prosty odpowiednik, co przejął część jej uniwersalistycznej funkcji, dodając do niej to, czego łacina już nie oferowała: żywą towarzyskość, modę i natychmiastową rozpoznawalność klasową.

Francuszczyzna działała jak paszport – nie terytorialny, lecz kulturowy. Kto mówił po francusku, mógł wejść w europejski obieg elitarny, nawet pochodząc z kraju peryferyjnego lub państwa zabiegającego o uznanie. Kto go nie znał, wypadał z rytmu, w którym naprawdę funkcjonowała dyplomacja XVIII wieku. W notatce źródłowej słusznie podkreślono, że francuski pełnił funkcję prestige language i High language – języka wysokiego, nobilitującego komunikację i warunkującego dostęp do dworskich kręgów decyzyjnych. Nie oznacza to jednak, że Europa po prostu „przeszła na francuski". Historia języka nie działa w ten sposób; żaden język nie zdobywa kontynentu jak armia idąca jedną drogą.

Język raczej rozlewa się przez sieci edukacyjne, małżeńskie, dworskie, literackie i dyplomatyczne. W jednym państwie zostaje przyjęty z entuzjazmem, w drugim z irytacją, w trzecim używany z konieczności, a w czwartym tolerowany jedynie w określonych rejestrach. Dlatego należy mówić nie o jednolitej dominacji, lecz o europejskiej ekologii języków. To pojęcie kluczowe: języki nie istnieją obok siebie jak przedmioty w szufladzie, lecz rywalizują, współpracują i wyspecjalizowują się, wypierając się w jednych sytuacjach i uzupełniając w innych.

Język jako system operacyjny władzy i symbol suwerenności

W tej ekologii łacina nie zniknęła nagle. Pozostawała przydatna tam, gdzie potrzebowano dawnego majestatu, neutralności, uczonej formy lub tradycji prawnej. Niemiecki zachowywał znaczenie w przestrzeni Świętego Cesarstwa Rzymskiego, w administracji i relacjach wewnątrzniemieckich. Włoski z kolei pozostawał istotny w sieciach handlowych, artystycznych, śródziemnomorskich oraz wywiadowczych.

Hiszpański był nośnikiem dumy mocarstwa, które choć politycznie traciło dawny impet, nie zamierzało oddawać symbolicznego pierwszeństwa bez walki. Szwedzki, rosyjski i inne języki państwowe zyskiwały na znaczeniu jako narzędzia centralizacji administracyjnej i narodowej suwerenności. Francuski stawał się coraz silniejszy, lecz nie panował w próżni – panował w napięciu. Właśnie dlatego tak ważna jest kategoria diglosji. W klasycznym sensie oznacza ona sytuację, w której różne odmiany albo różne języki mają odmienne funkcje społeczne: jeden bywa językiem wysokim, prestiżowym i oficjalnym, drugi zaś codziennym, lokalnym i prywatnym. W dyplomacji nowożytnej diglosja miała jednak charakter bardziej skomplikowany.

Francuski mógł być językiem wysokim na salonach, ale język narodowy bywał językiem najwyższym w relacji z monarchą, gdyż to właśnie on wyrażał lojalność wobec własnego państwa. Łacina mogła służyć jako język neutralny w traktacie, lecz niekoniecznie była najlepszym narzędziem nieformalnej perswazji. Niemiecki mógł być językiem administracyjnej rzeczowości, ale nie językiem europejskiego poloru. Innymi słowy: hierarchia języków zmieniała się zależnie od sytuacji. To nie sam język był z natury wysoki lub niski; wysoka albo niska była jego funkcja w danym układzie władzy.

Przejście od łaciny ku francuszczyźnie obrazuje zatem głębszą zmianę polityczną. Europa nowożytna odchodziła od uniwersalistycznego świata średniowieczno-renesansowej respublica Christiana ku systemowi państw, dworów, interesów dynastycznych, biurokracji i salonów. Łacina należała do porządku, w którym autorytet wyrastał z tradycji ponadnarodowej. Francuski natomiast przynależał do świata, w którym autorytet brał się z prestiżu żywej kultury dworskiej i uczestnictwa w aktualnym obiegu elit. Zmiana języka była więc zmianą modelu europejskiej władzy. Nie tylko mówiono inaczej – inaczej rozumiano, skąd bierze się polityczna skuteczność. Momentem symbolicznym dla tej transformacji bywa wskazywany traktat w Utrechcie z lat 1713-1714.

Nie chodzi o to, że po nim łacina nagle zniknęła, a francuski wszedł triumfalnie na scenę jak aktor po oklaskach. Chodzi raczej o sygnał przesunięcia normy. Francuski zaczął wyraźniej funkcjonować jako język traktatowy i dyplomatyczny, a jego użycie przestało być jedynie praktyczną wygodą; stało się znakiem uczestnictwa w europejskim systemie dyplomatycznym. Kto posługiwał się francuskim, pokazywał, że zna reguły gry. Kto się przed nim bronił, dowodził, że chroni coś więcej niż słownik: broni statusu. Ta obrona była szczególnie widoczna tam, gdzie język własny stawał się narzędziem suwerenności. W źródle pojawia się ważna maksyma: "prawo do własnego języka to prawo do suwerenności". Nie jest to tylko efektowna formuła.

W dyplomacji nowożytnej wybór języka mógł być równoznaczny z odmową podporządkowania się cudzej hierarchii. Jeżeli monarcha albo państwo nalegało na własny język, mówiło w istocie: nie

jesteśmy prowincją cudzej cywilizacji i nie będziemy prosić o dopuszczenie do rozmowy na warunkach narzuconych przez silniejszego. Taka deklaracja mogła być wzniosła lub komiczna, zależnie od realnej potęgi państwa. Jednak w polityce symbol często wyprzedza siłę, a czasem rozpaczliwie ją udaje. Stąd bierze się ambiwalencja francuszczyzny.

Z jednej strony była ona narzędziem kosmopolitycznej komunikacji. Ułatwiała porozumiewanie się dyplomatów różnych krajów, zmniejszała ciężar tłumaczeń i pozwalała tworzyć wspólny kod elit. Z drugiej strony mogła działać jako język miękkiej dominacji. Nie trzeba było podbijać cudzych kancelarii, aby wpływać na ich styl myślenia; wystarczyło, że dyplomaci zaczynali myśleć, pisać i żartować w języku cudzej kultury prestiżu. To nie jest argument przeciw francuskiemu, lecz przeciw naiwności. Język międzynarodowy nigdy nie jest wyłącznie praktycznym narzędziem.

Zawsze niesie on wyobrażenie świata, hierarchię wartości, model grzeczności, typ racjonalności i ukryty wzór tego, kto uchodzi za człowieka cywilizowanego. Francuszczyzna była zatem językiem o wielkiej sile formatowania. Dyplomata uczący się francuskiego nie przyswajał tylko słów; uczył się sposobu prowadzenia rozmowy, systemu komplementów, stylu aluzji, form dystansu, elegancji sporu i kodu salonowego. Mógł dzięki temu zyskać ogromną przewagę.

Mógł jednak stopniowo przejmować normy, które nie były neutralne politycznie. Język staje się wtedy czymś podobnym do systemu operacyjnego: użytkownik myśli, że korzysta z aplikacji, tymczasem środowisko już ustawia mu domyślne parametry. Dwór XVIII wieku nie potrzebował aktualizacji oprogramowania; wystarczył dobry nauczyciel francuskiego. Dlatego tak istotne było rozróżnienie między komunikacją zewnętrzną a wewnętrzną. W relacjach z obcymi dworami francuski bywał narzędziem skuteczności, lecz w komunikacji z własnym monarchą mógł stać się problemem lojalności.

Jeżeli dyplomata raportował po francusku, mógł wykazywać obycie, ale jednocześnie ryzykował, że zostanie odebrany jako ktoś, kto przenosi obcą normę do wnętrza państwa. Źródło przywołuje zjawisko "korekty normatywnej", czyli sytuacje, w których dyplomaci przepraszali za użycie francuszczyzny tam, gdzie oczekiwano języka własnego.

Język jako sytuacja polityczna i strategiczne przełączanie kodów

Takie przeprosiny stanowią fascynujące źródło historyczne, gdyż ujawniają normę właśnie poprzez jej naruszenie. Człowiek nie przeprasza za coś, co uważa za całkowicie obojętne; czyni to wtedy, gdy ma świadomość przekroczenia niewidzialnej granicy. Granica ta przebiegała między

kosmopolitycznym prestiżem a państwową tożsamością. Im bardziej dyplomacja stawała się zawodowa i europejska, tym silniejsze było pragnienie wspólnego języka. Jednocześnie im mocniej państwa budowały nowoczesną administrację i tożsamość polityczną, tym silniejsza stawała się potrzeba języka własnego. W rezultacie XVIII wiek nie był prostą epoką francuskiej hegemonii, lecz czasem sporu między uniwersalnym kodem elit a wernakularną godnością państwa. Francuski otwierał drzwi do salonu Europy, jednak język narodowy przypominał, że nie każde drzwi warto przekraczać na kolanach.

Z tego napięcia wyrastały odmienne modele polityki językowej. Prusy Fryderyka II wybrały francuski jako narzędzie modernizacji i kosmopolitycznej integracji dyplomacji. Święte Cesarstwo Rzymskie prezentowało bardziej rozproszony, konfliktowy krajobraz, w którym normy językowe zależały od terytorium, tradycji i pozycji politycznej. Szwecja broniła języka własnego w komunikacji z centralą, traktując go jako instrument biurokratycznej spójności i suwerenności. Hiszpania uznawała hiszpański za symbol mocarstwowej godności, choć w praktyce bez wahania sięgała po francuski i włoski tam, gdzie liczyła się skuteczność wywiadowcza. Stany Zjednoczone, dopiero wchodzące na scenę, odkryły boleśnie, że bez francuskiego brakuje im dostępu do europejskiej legitymizacji.

Pośrednicy imperiów – dragomani, Fanarioci, tłumacze, sekretarze i kupcy – dowiedli, że prawdziwa władza często należy do tych, którzy stoją między językami. W tej perspektywie wypieranie łaciny nie było jedynie zmianą narzędzia komunikacji, lecz przesunięciem całej architektury prestiżu. Łacina odsyłała do porządku odziedziczonego, sankcjonowanego przez tradycję, uniwersytet, Kościół, prawo i dawną formę dyplomatyczną. Francuski reprezentował porządek żywy: salonowy, dworski, świecki, oświeceniowy i modny. Języki narodowe odsyłały zaś do rodzącego się ładu nowoczesnego państwa, które pragnęło mówić własnym głosem, a nie jedynie cudzym kodem prestiżu.

Między tymi trzema porządkami rozgrywała się europejska walka o prawo do nazywania świata. Co istotne, żaden z nich nie zwyciężył całkowicie: łacina nie zniknęła natychmiast, francuski nie zniszczył języków narodowych, a te ostatnie nie wyeliminowały potrzeby lingua franca. Nowożytna dyplomacja była zatem sztuką przełączania kodów, a nie prostym wyborem jednego języka. Dyplomata musiał wiedzieć, kiedy mówić językiem prestiżu, kiedy lojalności, tajemnicy, a kiedy praktycznej wygody. Musiał rozumieć, że język nie jest tylko kanałem, lecz sytuacją polityczną. Dlatego naiwne jest pytanie o to, który język był najważniejszy; trafniej brzmi pytanie: w jakiej relacji, wobec kogo i w jakim celu dany język był używany?

Francuski w salonie mógł być przepustką, lecz w raporcie do monarchy mógł okazać się nietaktem. Łacina w traktacie bywała neutralna, choć w żywej rozmowie brzmiała jak anachronizm. Język

narodowy w wewnętrznej kancelarii wzmacniał państwo, podczas gdy w negocjacjach międzynarodowych mógł je izolować. Nie istnieją języki politycznie niewinne; są tylko sytuacje, w których ich polityczność staje się mniej widoczna. W tym sensie język komunikacji był elementem władczym – nie dlatego, że sam wydawał rozkazy, lecz ponieważ organizował warunki, w których prośby, aluzje, groźby i obietnice mogły zostać wypowiedziane skutecznie. Kto narzucał język rozmowy, narzucał część reguł gry. Kto znał język przeciwnika, zmniejszał własną zależność. Kto potrzebował tłumacza, oddawał część kontroli nad znaczeniem. Kto umiał przełączać kody, mógł poruszać się między światami. Ten zaś, kto rozumiał, kiedy język jest narzędziem, a kiedy sztandarem, posiadał przewagę większą niż ten, kto znał jedynie gramatykę.

Francuski jako narzędzie modernizacji i awansu statusowego Prus

Prusy i Święte Cesarstwo Rzymskie. Francuski jako modernizacja, prestiż i kłopotliwy znak zależności

Przejście od łaciny do francuszczyzny stanowiło fundamentalną zmianę w europejskiej dyplomacji, a Prusy Fryderyka II są jednym z najbardziej wyrazistych przykładów tej transformacji. Nie chodziło tu jedynie o biegłość pruskich dyplomatów w języku francuskim czy jego stosowanie w kontaktach zewnętrznych – robili to bowiem niemal wszyscy.

Istotne jest rozwiązanie znacznie bardziej radykalne: wprowadzenie francuskiego jako języka wewnętrznej korespondencji dyplomatycznej. Władca budujący państwo żołnierzy, urzędników i dyscypliny wybrał dla swojego aparatu dyplomatycznego język kosmopolitycznego poloru. To zestawienie niesie w sobie głęboką ironię historii: pruska twardość przemawiała językiem francuskiej elegancji. Decyzja Fryderyka II z 1740 roku nie była kaprysem monarchy-filozofa, lecz świadomym aktem glottopolitycznym – wykorzystaniem języka jako narzędzia organizacji władzy, prestiżu i tożsamości instytucjonalnej. Zgodnie z notatką źródłową Fryderyk II narzucił francuski jako oficjalne medium komunikacji wewnętrznej, nakazując urzędnikom raportować do ministerstwa i monarchy właśnie w tym języku.

Nie była to zwykła adaptacja techniczna do międzynarodowego obiegu, lecz próba przestawienia pruskiej dyplomacji na kod europejskiej elity. Prusy doskonale rozumiały wagę administracji; ich siła tkwiła nie tylko w armii, ale i w zdolności dyscyplinowania procedur, kadr, finansów oraz przepływu informacji. Wybór francuskiego wpisywał się w ten sam projekt: państwo miało być nie tylko skuteczne militarnie, lecz rozpoznawalne jako pełnoprawny uczestnik najwyższej gry

europejskiej. Pruski ambasador nie mógł być prowincjonalnym funkcjonariuszem wysłanym na wielkie dwory; musiał władać językiem, w którym Europa definiowała ogładę. Miał wejść do salonu nie jako ubogi krewny z północnych koszar, lecz jako reprezentant mocarstwa rozumiejącego reguły cywilizowanego świata.

Francuski stał się narzędziem awansu państwowego, podobnie jak poliglotyzm bywał instrumentem awansu jednostkowego. Tak jak bracia Simolinowie dzięki językom przekraczali bariery pochodzenia, tak Prusy za pomocą francuszczyzny przełamywały granice swojego jeszcze nie w pełni ugruntowanego statusu mocarstwowego. Język pełnił funkcję szaty reprezentacyjnej – nie zastępował realnej siły, lecz sprawiał, że stawała się ona widoczna. Państwo rosnące w potęgę potrzebuje bowiem nie tylko armii i podatków, ale formy, która pozwoli innym uznać ten wzrost. Dyplomacja jest przecież sztuką przekształcania surowej siły w legitymizowany status; bez tego brutalna energia pozostaje jedynie brutalną energią.

Wybór Fryderyka II obnaża jednak ambiwalencję nowożytnej kultury politycznej. Z jednej strony francuski był językiem nowoczesności, racjonalności i kosmopolitycznego prestiżu, z drugiej – językiem obcym. Pruska dyplomacja, dążąc do europejskiego poloru, przyjmowała medium kultury jednego ze swoich najważniejszych rywali. Nie ma w tym sprzeczności, jeśli uznamy język za infrastrukturę miękkiej siły (soft power). Francuszczyzna nie musiała podbijać terytoriów, by ustanawiać wzorce; wystarczyło, że uznano ją za miarę ogłady. Mechanizm ten był subtelny – nikt nie zmuszał dworów Europy do zmiany języka bagnetem przy gardle; przymus miał charakter prestiżowy.

Kto nie znał francuskiego, wypadał blado. Kto władał nim słabo, ryzykował śmieszność. Kto znał go biegle, zyskiwał prawo do gry. Władza języka polegała na tym, że uczestnicy systemu sami uznali go za niezbędny. To najbardziej elegancka forma dominacji: taka, w której podporządkowany płaci nauczycielowi za naukę kodu własnej zależności. Salon bywa tańszy niż armia i skuteczniejszy niż dekret. Nie należy jednak mylić tej zależności z prostą kolonizacją kulturową. Prusy nie przyjęły francuskiego z braku własnych ambicji czy administracji; przeciwnie – wykorzystały go instrumentalnie w projekcie wzmocnienia państwa. Fryderyk II nie był uczniem proszącym o dopuszczenie do klasy.

Francuski jako narzędzie modernizacji i symbol napięć

Był monarchą, który rozumiał, że skuteczność wymaga korzystania z dominującego kodu epoki. Francuski w Prusach stał się zatem jednocześnie znakiem zależności od europejskiej normy prestiżu i narzędziem pruskiej emancypacji mocarstwowej. Taka jest natura języka w polityce:

rzadko służy on tylko jednej stronie. Decyzja Fryderyka II odwracała typowy układ diglosji. Podczas gdy w wielu państwach język narodowy pozostawał naturalnym medium komunikacji z monarchą, a francuski służył głównie kontaktom zewnętrznym lub towarzyskim, w Prusach wprowadzono go do samego wnętrza biurokracji dyplomatycznej. Język prestiżu stał się językiem urzędowej praktyki. W konsekwencji pruski dyplomata miał być nie tylko reprezentantem państwa, lecz produktem określonej formacji kulturowej; miał myśleć, pisać i raportować w idiomie europejskiej dyplomacji. Wybór ten niosł konkretne korzyści: ułatwiał ujednolicenie korespondencji, przygotowywał personel do kontaktów międzynarodowych i budował wspólny styl, zwiększając kompatybilność pruskiego aparatu z systemem europejskim.

Miało to jednak swoją cenę. Każdy język narzuca własną ekonomię pojęć; to, co można łatwo wyrazić po francusku, nie zawsze pokrywa się z tym, co naturalnie myślimy w języku administracji krajowej. Władza przyjmująca cudzy język prestiżu przejmuje wraz z nim część obcej hierarchii znaczeń. Można wprawdzie używać tego narzędzia przeciw jego pierwotnym właścicielom, lecz nie można udawać, że jest ono przezroczyste. Prusy stanowią przykład świadomej modernizacji poprzez język, podczas gdy Święte Cesarstwo Rzymskie ukazuje sytuację odmienną: nie centralny eksperyment monarchy, lecz wielogłosowy, rozproszony system norm, tradycji i sporów. Rzesza nie była jednolitym państwem w nowoczesnym sensie, lecz skomplikowaną strukturą polityczną, prawną i symboliczną, w której poszczególne terytoria i dwory stosowały odmienne strategie. Dlatego praktyki językowe w relacjach z Francją nie mogły być tak prosto ujednolicone jak w Prusach; tu język ujawniał nie tylko prestiż, ale i fragmentaryczność porządku politycznego.

W źródłach zwrócono uwagę na występujące w Rzeszy konflikty normatywne, w których dyplomaci pełnili rolę „nosicieli norm” i „propagatorów norm”. To kluczowe określenia. Dyplomaci nie byli biernymi użytkownikami języka; ich codzienne decyzje – wybór między francuskim a niemieckim, kwestia przeproszenia za użycie francuszczyzny czy sięgnięcie po łacinę jako formę neutralną – współtworzyły żywą praktykę polityczną. Norma nie istniała wyłącznie w instrukcji, lecz w tym, co dyplomata uznawał za stosowne, ryzykowne, eleganckie, podejrzane lub konieczne.

Szczególnie wymowne są przypadki przeprosin za użycie francuszczyzny. Choć na pierwszy rzut oka mogą wydawać się drobiazgiem kancelaryjnym, w rzeczywistości to właśnie przez ten detal prześwituje cała konstrukcja systemu. Jeśli dyplomata przeprasza za użycie francuskiego, oznacza to, że język ten jest jednocześnie pożądany i problematyczny. Pożądany jako praktyczny, prestiżowy i zakorzeniony w obiegu elit; problematyczny zaś, gdyż narusza oczekiwanie, że pewne relacje powinny pozostać niemieckojęzyczne lub łacińskie. Przeprosiny są jak pęknięcie na porcelanie: pokazują miejsce, w którym naczynie było najbardziej naprężone.

Trójkąt napięć językowych i merytokracja podszyta klasą

W Rzeszy język niemiecki zajmował miejsce szczególne – był mową przestrzeni politycznej, administracyjnej i prawnej, choć w salonowym wymiarze europejskim nie zawsze cieszył się prestiżem porównywalnym z francuskim. Łacina z kolei zachowywała autorytet dawnej uniwersalności i neutralności, podczas gdy francuski wchodził do gry jako język nowego europejskiego obycia. Te trzy kody nie tyle zastępowały się mechanicznie, co tworzyły trójkąt napięć.

Łacina mówiła: „jestem tradycją i formą". Niemiecki głosił: „jestem lokalną strukturą i porządkiem Rzeszy". Francuski zaś deklarował: „jestem aktualnym prestiżem kontynentu". Dyplomata musiał zdecydować, którego z tych głosów użyć, mając świadomość, że każdy wybór zostanie odczytany politycznie. To napięcie dobrze pokazuje różnicę między potęgą języka a językiem potęgi. Francuski był potęgą języka, ponieważ organizował prestiż. Niemiecki stawał się językiem potęgi tam, gdzie struktura polityczna i administracyjna wymagała jego użycia. Łacina zaś pozostawała językiem dawnego autorytetu, działającym wszędzie tam, gdzie ceremoniał i prawo potrzebowały formy odpersonalizowanej. Żaden z tych języków nie był wszechmocny; każdy posiadał własny obszar przewagi.

Rzesza była systemem asymetrii. Relacje poszczególnych księstw z Francją zależały od położenia geopolitycznego, ambicji dynastycznych, zależności wojskowych, wyznań, tradycji kancelaryjnych oraz stopnia powiązania z Wersalem. Dla jednych francuski był naturalnym językiem kontaktu z potężnym sąsiadem i wzorem kultury dworskiej; dla innych mógł oznaczać zbyt daleko idące podporządkowanie. Jeszcze inni używali go pragmatycznie, nie czyniąc z tego wielkiej deklaracji. W takim świecie język nie tylko wyrażał politykę, lecz pozwalał ją maskować. Można było być zależnym, a jednocześnie brzmieć suwerennie; można było bronić tradycji, korzystając z języka przeciwnika. Dyplomacja kocha takie dwuznaczności, gdyż pozwalają one przetrwać państwom, które nie mogą powiedzieć o sobie całej prawdy.

Pruski model centralny i rzeszowy model rozproszony ukazują dwa różne oblicza tej samej epoki. W Prusach język był narzędziem odgórnego formatowania aparatu dyplomatycznego; w Rzeszy – polem negocjowania norm w wielocentrycznej strukturze. Tam, gdzie w Prusach decyzja monarchy mogła zmienić regułę, w Rzeszy reguła wykuwała się w gęstwinie praktyk, wyjątków i lokalnych tradycji. W obu przypadkach francuski ujawniał jednak to samo: Europa XVIII wieku coraz silniej odróżniała formalne posiadanie pozycji od umiejętności uczestniczenia w prestiżowym kodzie

komunikacji. Nie wystarczyło być podmiotem politycznym – trzeba było być czytelnym jako podmiot europejski. A ta czytelność miała swój język.

To lekcja bardzo współczesna, choć dotyczy dawnych dworów. Dzisiejszy świat także zna kody, bez których państwo, instytucja czy jednostka wygląda mniej poważnie, mimo formalnego posiadania wszystkich praw. W XVIII wieku takim kodem była francuszczyzna. Kto jej nie znał, przypominał kogoś, kto przychodzi na negocjacje bez dostępu do wspólnej platformy komunikacyjnej – niby obecny, a jednak częściowo wylogowany. Prusy rozwiązały ten problem przez radykalne włączenie francuskiego do własnego aparatu; Rzesza czyniła to sytuacyjnie, poprzez lokalne kompromisy. Oba modele niosły konsekwencje społeczne.

W Prusach wzrastała wartość wykształcenia frankofońskiego i zdolności pisania w stylu odpowiadającym europejskim normom. W Rzeszy szczególną pozycję zyskiwali ci, którzy potrafili przełączać się między łaciną, niemieckim a francuskim, rozumiejąc, gdzie kończy się elegancja, a zaczyna polityczna podejrzliwość. Kompetencja językowa była zatem nie tylko umiejętnością osobistą, lecz mechanizmem selekcji elit administracyjnych. Prowadzi to do kwestii klasowej: języki prestiżu nie są neutralne społecznie. Dostęp do nich zależy od edukacji, pochodzenia, kapitału i sieci rodzinnych. Francuski jako język dyplomacji wzmacniał tych, którzy mogli się go nauczyć w odpowiednim stylu, ale jednocześnie otwierał ścieżki awansu dla ludzi spoza najwyższej arystokracji, o ile posiadali rzadkie kompetencje. To paradoks elitarnych kodów: zamykają one drzwi przed wieloma, lecz dla niektórych stają się wytrychem. Kto urodził się bez herbu, ale z talentem językowym, mógł wejść do służby państwowej jako człowiek niezbędny. Stara elita mogła pogardzać takim awansem, lecz państwo często wolało użyteczność od genealogicznej pychy. Herb nie przetłumaczy depeszy.

Gramatyka czasem zrobi karierę szybciej niż pradziad pod Grunwaldem. Nie można jednak przesadzić z demokratyzującym obrazem poliglotyzmu. Kompetencje językowe mogły otwierać drogę, lecz same były produktem nierówności. Uczyć się języków na poziomie dyplomatycznym mogli przede wszystkim ci, którzy mieli dostęp do edukacji. Nawet jeśli język pozwalał jednostkom przekroczyć granice stanu, nie znosił struktury społecznej, w której nauka była przywilejem. Władza języka polegała więc również na tym, że ukrywała nierówność pod postacią „kompetencji". Kto znał język, uchodził za zdolnego; kto go nie znał – za nieprzygotowanego. Rzadziej pytano o to, kto w ogóle miał prawo do nauczyciela.

Dyplomacja nowożytna była zatem szkołą nowoczesnej merytokracji, lecz merytokracji podszytej klasą. Awans przez kompetencję był możliwy, jednak dostęp do tychże pozostawał społecznie filtrowany. Bracia Simolinowie są fascynujący właśnie dlatego, że pokazują szczelinę w systemie, a nie jego całkowite otwarcie.

Język dokumentów jako architektura widzialności politycznej

Ich wielojęzyczność pozwalała im konkurować z arystokracją rosyjską, gdyż oferowali państwu kompetencje, których sama elita często nie dostarczała w wystarczającym stopniu: zdolność skutecznej komunikacji w wielojęzycznym świecie. Wracając do Prus i Rzeszy, należy podkreślić, że francuski w dyplomacji nie był wyłącznie językiem mówionym, lecz także narzędziem dokumentowania, archiwizowania i standaryzacji. Jest to istotne, ponieważ historyk postrzega język dyplomacji głównie przez pryzmat dokumentów, które z kolei są efektem pracy wielu osób. Raport ambasadora mógł być podyktowany, przepisany, poprawiony, zaszyfrowany czy zredagowany przez sekretarza; ostateczna forma tekstu nie zawsze odzwierciedlała zatem spontaniczną kompetencję dyplomaty, lecz była produktem instytucjonalnej praktyki pisania. Notatka źródłowa trafnie wskazuje, że wielu dokumentów nie należy traktować jako zapisu "żywej mowy", lecz jako ustandaryzowaną, wyuczoną wersję francuszczyzny właściwą dla systemów edukacyjnych i personelu pomocniczego. To zastrzeżenie ma kluczowe znaczenie metodologiczne. Widząc francuski w archiwum, nie możemy założyć, że dyplomata mówił tak w salonie; możemy jedynie stwierdzić ostrożnie, iż instytucja uznała taki kod za właściwy dla danej formy komunikacji. A to spostrzeżenie bywa bardziej wymowne.

Dokument jest śladem normy. Może mniej odsłaniać indywidualny głos, ale lepiej pokazuje, jak państwo chciało brzmieć. Pruska korespondencja francuska nie jest więc tylko świadectwem lingwistycznym, lecz autoportretem instytucji pragnącej uchodzić za europejską, racjonalną, nowoczesną i zdolną do gry z największymi. Święte Cesarstwo Rzymskie ukazuje natomiast obraz bardziej rozproszony, pełen nakładających się tradycji.

Nie ma tu jednego lustra, lecz galerię luster, w których francuski, niemiecki i łacina odbijają różne oblicza politycznej przynależności. W jednym odbiciu dyplomata jest człowiekiem Rzeszy, w drugim partnerem Francji, w trzecim sługą własnego księcia, a w czwartym członkiem europejskiej wspólnoty salonowej. Każdy język uruchamia inną rolę; nowożytny dyplomata nie tyle posiada stałą tożsamość, co ją przełącza. Właśnie dlatego musi znać języki: każdy z nich pozwala mu wystąpić w innej politycznej masce. W tej masce nie kryje się wyłącznie fałsz, lecz funkcja. Dyplomacja zawsze wymagała teatralności, jednak nie oznacza to braku realności. Przeciwnie: w świecie dworów forma stanowiła część rzeczywistości. Sposób zwrócenia się do monarchy, język listu, kolejność podpisu, użycie tytułu czy wybór łaciny zamiast francuskiego mogły wyrażać uznanie, dystans, roszczenie bądź odmowę. Nowoczesny czytelnik, przyzwyczajony do komunikatów konkretnych i zwięzłych, może nie doceniać tej warstwy, lecz dawniej protokół był polityką w stanie skondensowanym.

Jedno słowo za dużo mogło oznaczać kapitulację, jedno za mało – obrazę. Kancelarie nie były fabrykami papieru; były laboratoriami hierarchii.

Dlatego przejście ku francuszczyźnie miało tak wielkie znaczenie: oznaczało, że laboratorium hierarchii zaczyna korzystać z nowego odczynnika. Francuski pozwalał budować wspólny europejski styl, a zarazem ujawniał różnice między tymi, którzy posługiwali się nim swobodnie, tymi, którzy czynili to z polityczną ostrożnością, i tymi, którzy przepraszali za jego użycie. Prusy uczyniły z francuskiego narzędzie modernizacyjnej dyscypliny, Rzesza zaś traktowała go jako element złożonego pola norm. W obu przypadkach język był barometrem nowoczesności, choć wskazówka tego barometru drgała pod naciskiem tradycji. Tutaj najwyraźniej widać, że język komunikacji jest instrumentem władzy nie tylko w relacjach między państwami, ale i wewnątrz aparatu państwowego. Monarcha nakazujący konkretny język raportowania decyduje o kodzie, w jakim wytwarzana jest wiedza o świecie. Raport dyplomatyczny nie jest neutralnym opisem faktów, lecz uporządkowaniem rzeczywistości według kategorii dostępnych w danym języku i stylu. Administracja raportująca po francusku łatwiej wpisuje własne doświadczenia w europejski dyskurs dyplomatyczny, choć jednocześnie filtruje rzeczywistość przez obcy idiom prestiżu. Raportowanie w języku narodowym wzmacnia autonomię symboliczną, lecz wymaga wypracowania terminologii zdolnej opisać złożone relacje międzynarodowe. Każdy wybór niesie ze sobą zyski i straty.

Prusy postawiły na integrację z francuskojęzycznym obiegiem elitarnym, Rzesza zaś funkcjonowała w wielojęzycznym kompromisie. Oba przypadki uczą, że język w dyplomacji nie jest dekoracją dokumentu, lecz architekturą widzialności politycznej. Francuski pozwalał Prusom mówić jak mocarstwo, zanim ich status stał się oczywisty dla wszystkich. W Rzeszy umożliwiał uczestnictwo w relacjach z Wersalem, lecz jednocześnie mógł wywoływać normatywny dyskomfort, przypominając, że prestiż Europy nie zawsze współbrzmiał z lokalną lojalnością. Ta ambiwalencja powróci w kolejnych studiach przypadku.

Szwecja będzie broniła szwedzkiego z rygorem dowodzącym, że język centralnej administracji może być narzędziem państwowej spójności. Hiszpania natomiast strzegła hiszpańszczyzny jako symbolu mocarstwowości, a jednocześnie pragmatycznie wykorzystywała francuski i włoski w sferach operacyjnych, zwłaszcza wywiadowczych.

Język narodowy jako technologia państwowości

Żadne państwo nie mogło pozwolić sobie na prostotę. Ten, kto mówił wyłącznie językiem prestiżu, ryzykował utratę własnego głosu; ten zaś, kto trzymał się tylko języka ojczystego, narażał się na

izolację. Skuteczność tkwiła w umiejętności przełączania kodów przy pełnej świadomości tego, który z nich komu służy. To najważniejsza lekcja płynąca z przykładu Prus i Świętego Cesarstwa Rzymskiego: język dyplomacji był polem negocjacji między ambicją a zależnością. Francuski otwierał drzwi do europejskiej elity, lecz dostęp ten nigdy nie był niewinny. Język własny dawał poczucie suwerenności, choć ta bez komunikacyjnej sprawności mogła przerodzić się w dumną samotność. Łacina nadawała majestatu tradycji, jednak tradycja pozbawiona żywej skuteczności stawała się marmurem bez pulsu. Nowoczesna dyplomacja rodziła się z napięcia między trzema pokusami: głosem dawnego autorytetu, językiem aktualnego prestiżu a mową własnego państwa. Najlepsi rozumieli, że trzeba władać wszystkimi trzema. Władza bowiem nie zaczyna się w momencie podpisywania traktatu, lecz wcześniej – w wyborze języka, w którym ten traktat staje się w ogóle wyobrażalny.

Szwecja i Hiszpania pokazują inny model: język własny jako twierdza, język obcy jako narzędzie. Doświadczenia Prus i Świętego Cesarstwa Rzymskiego dowodzą, że francuszczyzna nie była jedynie medium międzynarodowym. Stanowiła znak prestiżu, test przynależności do elity, instrument modernizacji, ale i kłopotliwe świadectwo zależności od cudzej normy. Jednak to przypadki Szwecji i Hiszpanii w pełni ujawniają, że państwa nowożytne nie przyjmowały języków biernie. Nie były tablicami, na których francuski zapisywał swoje zwycięstwo; prowadziły własną politykę językową – czasem surową, czasem teatralnie dumną, a niekiedy bezwstydnie pragmatyczną. W tej syntezie zasady i interesu najlepiej przejawia się dojrzałość dyplomacji.

Szwecja stanowi przypadek szczególny, gdyż jej polityka językowa w XVIII wieku była ściśle powiązana z profesjonalizacją biurokracji. Źródła przywołują wyraźną dyrektywę nakazującą dyplomatom pisać do centrum „w żadnym obcym języku, lecz wyłącznie i tylko po szwedzku”. Formuła ta brzmi niemal jak rozkaz wojskowy wydany gramatyce. Brak w niej salonowej miękkości; dominuje administracyjna stanowczość: państwo chce słyszeć swoich wysłanników we własnym języku. Można by uznać to za prowincjonalną obronę przed francuskim prestiżem, lecz byłoby to zbyt proste. Szwedzki rygor nie wynikał jedynie z niechęci do obcego idiomu.

Był on elementem budowania spójności aparatu państwowego. Język narodowy w komunikacji z centralą nie stanowił sentymentalnej pamiątki, lecz narzędzie zarządzania. Raporty dyplomatyczne miały trafiać do instytucji operujących w określonym języku administracyjnym, tradycji kancelaryjnej i systemie pojęć. Aby państwo działało jak sprawny organizm, nie mogło całkowicie uzależnić obiegu informacji od języka cudzej kultury prestiżu. Szwedzki był więc dla Szwecji nie tyle ornamentem tożsamości, ile technologią państwowości. Pozwalał ujednolicać raportowanie, utrwalać standardy urzędowe i zachować kontrolę nad opisem świata zewnętrznego. Władza centrum zaczyna się od zrozumienia informacji bez konieczności nieustannego przekładu.

Dyplomata piszący do ojczyzny w języku obcym wprowadza do aparatu państwowego nie tylko obce słowa, ale i obcy układ prestiżu; pisząc we własnym, wzmacnia wewnętrzną ciągłość instytucji.

Nie oznacza to jednak, że szwedzcy dyplomaci żyli w językowej twierdzy bez okien. Wręcz przeciwnie – źródła pokazują, że mimo restrykcji francuski funkcjonował w codzienności dzięki zjawisku przełączania kodów (code-switching). Używano go do spraw prywatnych, towarzyskich oraz przy cytowaniu rozmów dworskich. Szwecja nie odrzucała więc francuskiego, lecz wyznaczała mu miejsce: szwedzki miał dominować w obiegu państwowym, natomiast francuski pozostawał niezastąpiony w rejestrze salonu i europejskiego obycia. W tym punkcie widać, że diglosja dyplomatyczna nie była prostą hierarchią z francuskim na szczycie. W relacji do monarchy i centrum administracyjnego język narodowy mógł być językiem najwyższym, gdyż reprezentował lojalność, suwerenność i spójność instytucjonalną.

Równowaga między językiem narodowym a prestiżem francuskiego

W relacjach towarzyskich francuski pełnił rolę języka wyższego, będąc synonimem poloru, elegancji i przynależności do świata salonów. Dyplomata musiał zatem precyzyjnie rozróżniać, gdzie kończy się państwo, a zaczyna salon; gdzie mówi urzędnik, a gdzie człowiek towarzyski; gdzie raportuje się fakty, a gdzie cytuje atmosferę.

Szwedzkie przełączanie kodów obnaża różnicę między suchą informacją a niuansem. Własny język administracji wystarczał do przekazania decyzji, instrukcji czy stanowiska. Jednak gdy należało oddać cudzy ton, żart lub aluzję, francuski stawał się niezastąpiony. Przekładanie wszystkiego na język raportu groziłoby utratą smaku sytuacji, a w dyplomacji smak sytuacji bywa informacją. Jeśli minister wypowiada zdanie po francusku w określonym rejestrze, cytat przestaje być dekoracją – staje się dowodem. Świadczy nie tylko o treści, ale i o formie oraz świecie znaczeń, do którego wypowiedź należy.

Szwedzka polityka językowa była zatem bardziej wyrafinowana, niż mogłoby się wydawać. Państwo dbało o język wewnętrznej lojalności, lecz pozwalało dyplomatom traktować francuski jako instrument obserwacji i rejestracji obcego świata. Była to swoista instrukcja: myślcie o państwie po szwedzku, ale nie udawajcie, że Europa nie rozmawia po francusku.

Taka zasada jest dojrzalsza od ślepej frankofilii i skuteczniejsza niż jałowy puryzm. W tym ostatnim kryje się bowiem ryzyko politycznej głuchoty – państwo nakazujące ignorować język prestiżowy epoki samo odcina sobie dopływ informacji. Z kolei całkowite oddanie administracji cudzej mowie

grozi utratą pojęciowej samodzielności. Szwecja szukała złotego środka: język własny jako kręgosłup, francuski jako narzędzie operacyjne i kulturowe.

Hiszpański dualizm języka symbolicznego i funkcjonalnego

Kręgosłup bez narzędzi jest sztywny, narzędzia bez kręgosłupa są bezpańskie. Szwedzi, przynajmniej w tej materii, rozumieli anatomię państwa całkiem nieźle. Hiszpania prezentuje inny wariant tej samej gry: o ile Szwecja broniła języka własnego jako instrumentu administracyjnej spójności, o tyle Hiszpania traktowała hiszpańszczyznę jako znak mocarstwowej godności.

W XVIII wieku imperium hiszpańskie nie było już tym samym hegemonem co dawniej, lecz pamięć o wielkości nie znika z protokołu tak szybko, jak z bilansów sił. Język hiszpański stanowił symbol suwerenności Korony i imperialnego dziedzictwa — statusu, którego nie wolno było oddać bez walki. W dyplomacji jest to szczególnie istotne: państwa często kurczowo trzymają się językowych form dawnej potęgi właśnie wtedy, gdy realna siła zaczyna kruszeć. Nie należy z tego zbyt łatwo szydzić; symboliczna obrona języka nie wynika jedynie z próżności. W świecie dyplomacji uznanie poprzedza konkretne działania. Jeśli państwo samo rezygnuje z języka własnej godności, inni mogą odczytać to jako kapitulację w kwestii pozycji politycznej. W protokole nie ma niewinnych ustępstw.

Oczywiście język nie zastąpi floty, finansów czy sprawnej administracji, ale może podtrzymywać ramę, w której państwo nadal występuje jako równorzędny podmiot. Hiszpańska duma językowa była zatem formą obrony statusu; czasem polityka zaczyna się od tego, by nie pozwolić mówić o sobie cudzym tonem. Jednocześnie Madryt nie był ślepy na pragmatykę. Źródła ukazują wyraźne napięcie między sferą ideologiczną a operacyjną: z jednej strony hiszpańszczyzna była nienaruszalnym symbolem suwerenności w oficjalnym ceremoniale, z drugiej zaś francuski i włoski służyły w rutynowej korespondencji oraz sieciach informacyjnych wywiadu.

To właśnie tutaj Hiszpania okazuje się nie tyle anachroniczna, co praktycznie inteligentna. Na sztandarze hiszpański, w terenie francuski i włoski. Herb wisi nad bramą, ale klucze do bocznych drzwi bywają wielojęzyczne. Sfera wywiadowcza najlepiej obnaża prawdziwą naturę języka w polityce. Oficjalna dyplomacja operuje pojęciami godności i precedencji; wywiad pyta prościej: w jakim języku informator odpowie szybko, precyzyjnie i bez zbędnego ryzyka? Jeśli sieć agentów działa w środowisku włosko- lub francuskojęzycznym, to te języki stają się narzędziem skuteczności

— nie ze względu na prestiż czy ambicje Korony, lecz dlatego, że po prostu działają. Język operacyjny jest językiem nagiej praktyki; nie pyta o dumę, lecz o rezultat.

Przypadek hiszpański jest zatem modelowym przykładem rozdzielenia języka symbolicznego od funkcjonalnego. Ten pierwszy mówi światu, kim jesteśmy; ten drugi pozwala działać w świecie takim, jaki jest. Państwo nierozsądne myli te dwa poziomy: zbyt dumne próbuje załatwiać wszystko symbolem i traci skuteczność, zbyt uległe oddaje symbol, fascynując się samą funkcjonalnością. Państwo dojrzałe wie, że musi posiadać oba. Hiszpania, mimo ograniczeń epoki, w wielu aspektach rozumiała tę podwójną logikę.

W porównaniu ze Szwecją różnica jest subtelna, lecz zasadnicza. Szwecja chroniła język wewnętrznej administracji, dopuszczając francuski jako narzędzie kontaktu. Hiszpania broniła hiszpańskiego jako majestatu politycznego, wykorzystując języki obce tam, gdzie ceremoniał nie musiał udawać, że jest wszystkim. Polityka szwedzka była bardziej biurokratyczna, hiszpańska — imperialno-symboliczna. Obie jednak dowodzą, że nowożytne państwa musiały myśleć o języku strategicznie.

Strategiczne podejście oznaczało przede wszystkim zdolność rozróżniania sfer. Inaczej mówi się do monarchy, inaczej do obcego ministra, sekretarza czy szpiega; inaczej w traktacie, a inaczej w prywatnym dopisku, szyfrze lub salonie. Kto tego nie rozumiał, stawał się niebezpieczny dla własnego państwa, nawet przy nienagannych manierach. Błąd językowy w dyplomacji to bowiem nie kwestia złej gramatyki, lecz błędne rozpoznanie sytuacji władzy. Można poprawnie odmienić czasownik i politycznie odmienić własny status na gorszy.

Ekologia języków jako strategia zachowania suwerenności pojęciowej

Właśnie dlatego Szwecja i Hiszpania stanowią tak trafne przykłady oporu wobec uproszczonej narracji o francuskiej hegemonii. Francuski był potężny, lecz nie absolutny; mógł być językiem salonu, ale nie musiał nim być centrum państwa. Mógł służyć wywiadowi, lecz nie musiał być językiem majestatu. Ułatwiał komunikację, ale nie musiał definiować tożsamości. Państwa rozumiejące tę wielowarstwowość potrafiły korzystać z francuszczyzny bez całkowitej kapitulacji wobec jej prestiżu. W tym kontekście kluczowa staje się ekologia języków, w której nie chodzi jedynie o dominację jednego gatunku, lecz o nisze, zależności, adaptacje i równowagi.

Francuski mógł dominować w jednej niszy, szwedzki w drugiej, hiszpański w trzeciej, włoski w czwartej, a łacina w piątej. Każdy język posiadał środowisko, w którym był szczególnie skuteczny, a

polityka językowa polegała na tym, by tych sfer nie pomylić. Wpuszczenie języka salonu bez kontroli do serca administracji państwowej groziło stworzeniem filtra zależności. Narzucenie języka majestatu agentom i informatorom mogło sparaliżować przepływ informacji. Z kolei zmuszenie języka tradycji do obsługi żywej gry politycznej sprawiało, że brzmiał on dostojnie, lecz przestawał działać. W tej perspektywie języki przypominają waluty: każda ma swój obszar obiegu, kurs prestiżu, zdolność wymiany i ryzyko inflacji. Łacina była walutą dawnego autorytetu, francuski – salonowego i dyplomatycznego prestiżu, zaś języki narodowe stały się walutą suwerenności. Włoski oraz inne języki operacyjne służyły jako waluta sieci handlowych, wywiadowczych czy śródziemnomorskich. Sprawny dyplomata musiał znać kursy wymiany; ten mniej biegły płacił złotem tam, gdzie wystarczył miedziak, lub przeciwnie – próbował opłacić prestiż drobną monetą prowincjonalnej pewności siebie.

W przypadku Szwecji szczególnie widoczne jest to, że język narodowy stał się elementem nowoczesnego państwa administracyjnego. Przejście do nowoczesności nie polegało jedynie na adaptacji języka międzynarodowego, lecz na budowaniu własnego języka urzędowego, zdolnego obsługiwać politykę zagraniczną, gospodarkę, prawo i administrację. Państwo, które nie rozwija własnej terminologii, skazuje się na intelektualny import; może wprawdzie działać, ale myśli wówczas cudzymi kategoriami. Szwedzki rygor raportowania był zatem praktyką produkcji własnej zdolności pojęciowej. Język bowiem nie tylko przekazuje gotowe treści, ale umożliwia powstawanie myśli określonego rodzaju. Jeśli dyplomaci przez pokolenia opisują świat w języku narodowym, wypracowują słownictwo i kategorie, dzięki którym państwo może samo siebie rozumieć. Gdy natomiast subtelna refleksja polityczna odbywa się wyłącznie w języku obcym, język własny pozostaje sferą emocji, obyczaju lub administracyjnej rutyny, nie stając się narzędziem wysokiego namysłu strategicznego. Wówczas suwerenność istnieje formalnie, lecz jej instrumentarium pojęciowe leży za granicą. Jest to sytuacja wygodna dla tłumaczy, lecz niekoniecznie dla państwa.

Rozdzielenie majestatu od operacyjności językowej

Hiszpania z kolei pokazuje, że język imperialny może zachować funkcję prestiżową nawet wtedy, gdy jego praktyczna użyteczność międzynarodowa słabnie w porównaniu z francuskim. Język mocarstwa jest pamięcią dawnej siły – zasobem, jeśli podtrzymuje godność, ciągłość i pozycję negocjacyjną, lecz ciężarem, jeśli prowadzi do przeceniania własnego statusu. Hiszpańska dyplomacja musiała zatem balansować między dumą a skutecznością. W tym właśnie przejawia się prawdziwa sztuka polityczna: nie mylić zachowania twarzy z zatykaniem uszu. Pragmatyczne korzystanie z francuskiego i włoskiego w kontaktach informacyjnych nie przekreślało hiszpańskiej suwerenności językowej; przeciwnie, mogło ją chronić. Państwo, które używa obcych języków

instrumentalnie, nie traci na suwerenności. Traci ją dopiero wtedy, gdy przestaje rozumieć, że posługuje się narzędziem, a zaczyna czcić je jako własnego pana. Różnica między instrumentem a poddaństwem jest subtelna, lecz zasadnicza. Młotek nie rządzi cieślą, chyba że cieśla zacznie oddawać mu honory.

Ta sama zasada dotyczyła francuszczyzny w całej dyplomacji XVIII wieku. Francuski był niezbędny, ale nie musiał być absolutem. Był językiem przewagi, lecz ta przewaga nie zawsze należała do Francji – korzystali z niej często ci, którzy potrafili wykorzystać francuski przeciwko monopolowi prestiżu samego Paryża. Prusy osiągały to poprzez instytucjonalne przyswojenie, Szwecja przez kontrolowane ograniczenie, a Hiszpania poprzez rozdzielenie majestatu i operacyjności. Każda z tych strategii była odpowiedzią na ten sam problem: jak wejść do europejskiej rozmowy, nie gubiąc własnej pozycji przy drzwiach.

Język własny w nowożytnej dyplomacji nie był wyłącznie kwestią narodowych emocji. Dziś łatwo interpretować te zjawiska przez pryzmat późniejszych nacjonalizmów, jednak w XVIII wieku logika była bardziej złożona. Język wiązał się z dynastią, kancelarią, prawem, terytorium i religią, a także z tradycją urzędową, edukacją elit oraz sposobem organizacji państwa. Stanowił zalążek nowoczesnej tożsamości narodowej, choć rzadko w sensie masowym; częściej był językiem państwowej samoorganizacji i symbolicznej równości władców. Krótko mówiąc: nie chodziło jeszcze o to, by „naród mówił", lecz o to, by państwo nie musiało mówić wyłącznie cudzym głosem.

Szwecja i Hiszpania ukazują ponadto istotną różnicę między mową pisaną a ustną. Oficjalne raporty można było regulować instrukcjami, jednak rozmowy salonowe, plotki, półoficjalne uwagi czy kontakty agenturalne wymykały się pełnej standaryzacji. Żywa dyplomacja zawsze była bardziej wielojęzyczna niż jej oficjalna fasada. Archiwum przechowuje szwedzki raport lub hiszpański protokół, lecz za nimi stały rozmowy prowadzone po francusku, włosku, niemiecku lub w mieszaninie kodów. Państwo mogło narzucić język dokumentu, ale nie mogło nakazać światu, w jakim języku będzie podszeptywał informacje. Ten rozdźwięk pozostaje niezwykle pouczający.

Funkcjonalny pluralizm jako warunek realnej sprawczości

Oficjalny język obrazuje, jak państwo pragnie być postrzegane; język praktyki ujawnia natomiast, jak musi ono działać. Szwedzki raport do centrum głosi: jesteśmy spójną administracją. Francuski cytat w dopisku dodaje: lecz świat salonów funkcjonuje inaczej. Hiszpański ceremoniał deklaruje: jesteśmy imperium i mamy własną godność.

Włoska czy francuska korespondencja wywiadowcza mówi jednak wprost: agent odpowiada w takim języku, w jakim da się zdobyć informację. Między tymi poziomami nie ma sprzeczności, o ile państwo jest dojrzałe i zachowuje podział funkcji. Dojrzałość polega właśnie na tym, by nie zamieniać narzędzia w fetysz. Język własny staje się fetyszem, gdy służy do maskowania braku skuteczności; język obcy – gdy ma udawać nowoczesność. Francuski mógł być realnym narzędziem dyplomacji, ale mógł też stać się kostiumem. Szwedzki mógł służyć administracji, lecz mógł przeobrazić się w sztywną doktrynę. Hiszpański mógł być symbolem suwerenności, ale mógł stać się jedynie teatralnym wspomnieniem potęgi. Polityka językowa wymagała zatem nie tylko biegłości, lecz przede wszystkim trzeźwości wobec funkcji języka. Gramatyka bez realizmu bywa tylko pięknie odmienioną iluzją.

Zarówno Szwecja, jak i Hiszpania wnoszą do analizy lekcję równowagi. Nie wystarczy przyjąć lingua franca, aby być nowoczesnym, podobnie jak nie wystarczy bronić języka własnego, by być suwerennym. Nowoczesność bez własnego głosu jest zależnością w eleganckim płaszczu. Suwerenność bez zdolności komunikacji jest samotnością w narodowym mundurze. Prawdziwa przewaga polega na umiejętności rozróżnienia: kiedy mówić językiem własnym, kiedy językiem prestiżu, a kiedy operacyjnym. Czasem zaś należy zachować milczenie, gdyż dyplomacja zna starą prawdę: najbezpieczniejszym językiem bywa brak stenogramu.

Szwecja i Hiszpania dowodzą, że polityka językowa była sztuką funkcjonalnego pluralizmu. Języki nie były lepsze lub gorsze – były właściwe lub niewłaściwe dla danej sytuacji. Szwedzki w raporcie do centrum był właściwy, bo wzmacniał państwo; francuski w salonach zachowywał niuans, a hiszpański w ceremoniale chronił majestat. Włoski czy francuski w kontakcie wywiadowczym zapewniały przepływ informacji. Błąd nie tkwił w użyciu obcego języka, lecz w pomyleniu jego funkcji. Język komunikacji jako instrument władzy nie działał zatem poprzez dominację jednego idiomu, lecz przez zdolność przypisania mu właściwego miejsca w architekturze państwa i dyplomacji. Kto kontrolował te funkcje, kontrolował prestiż, lojalność i dostęp. Pozostali stawali się zależni od obcych norm, przypadkowych tłumaczy lub własnej dumy. W polityce językowej, podobnie jak w finansach publicznych, deficyt świadomości zawsze ktoś spłaca – najczęściej z odsetkami i w cudzej walucie.

Stany Zjednoczone w Europie to przykład suwerenności, która musiała nauczyć się francuskiego. Przypadek ten odsłania problem języka dyplomacji z wyjątkową ostrością, gdyż młode państwo amerykańskie nie wchodziło do Europy jako pełnoprawny uczestnik starego porządku. Brakowało mu dynastii, wielowiekowej obecności na kongresach czy miejsca w hierarchii dworów. Posiadało deklarację niepodległości, determinację i interesy handlowe, lecz w XVIII-wiecznej Europie sama deklaracja suwerenności nie wystarczała. Suwerenność należało wypowiedzieć w języku

uznawanym przez elity za poważny i godny wysłuchania. Tu właśnie język francuski ujawnił swoją funkcję legitymizacyjną. Dla Amerykanów francuszczyzna nie była tylko wygodnym narzędziem, lecz bramą do świata, w którym rozstrzygały się losy międzynarodowego uznania. Mogli ogłosić niepodległość po angielsku, ale o akceptację musieli zabiegać w systemie, którego kod prestiżowy był francuski. To sytuacja paradoksalna: republika odrywająca się od imperialnej metropolii musiała przyswoić język arystokratycznej Europy, aby przekonać ją, że jest czymś więcej niż zbuntowaną kolonią.

Kompetencja językowa jako warunek politycznej widzialności

Analiza wczesnej amerykańskiej dyplomacji wymaga perspektywy Nowej Historii Dyplomacji. Nie wystarczy badać tekstów traktatów i decyzji gabinetowych; należy dostrzec ludzi, praktyki społeczne, salony, nieformalnych pośredników, tłumaczy, konsulów oraz kobiety uczestniczące w kulturze salonowej – całą infrastrukturę uznania, która funkcjonowała poza formalną procedurą. Młode państwo nie wchodziło bowiem do abstrakcyjnego systemu prawa międzynarodowego, lecz do konkretnego świata ludzi dobrze urodzonych i wykształconych, przywiązanych do formy, tonu oraz subtelnych hierarchii zachowania. W tym świecie język działał jak filtr wiarygodności. Nie chodziło jedynie o umiejętność poproszenia o audiencję czy przeczytania depeszy, lecz o zdolność bycia obecnym w kulturze, w której decyzje dojrzewały nie tylko w kancelariach, ale także przy stole, w salonie, teatrze, prywatnej korespondencji i półoficjalnych rozmowach.

Francuski był językiem tego krążenia. Kto go nie znał, znajdował się poza rytmem spraw; mógł mieć rację polityczną, lecz brakowało mu dostępu do przestrzeni, w której racja mogła stać się wpływem. Amerykanie musieli zatem przejść lekcję, którą stare dwory znały od dawna: dyplomata bez kompetencji językowej jest politycznie kulawy. Może reprezentować państwo, ale nie czyni tego skutecznie. Posiada instrukcje, lecz brakuje mu narzędzi nawigacji; może siedzieć przy stole, nie słysząc prawdziwej rozmowy. Jest to szczególnie bolesne dla państwa republikańskiego, które pragnęło odróżnić się od arystokratycznej Europy. Historia bywa ironiczna: by zostać uznaną przez świat starych dworów, nowa republika musiała opanować ich językowe obyczaje. Wolność, zanim przemówiła własnym głosem na forum świata, musiała przejść kurs francuskiej konwersacji.

Najbardziej wyrazistym przykładem klęski językowej jest misja Williama Lee w Wiedniu. Lee nie znał ani francuskiego, niezbędnego w dyplomacji, ani niemieckiego, kluczowego w lokalnym środowisku habsburskim. Ta podwójna luka skazała go na izolację w jednym z najbardziej sformalizowanych dworów Europy, gdzie język nie był dodatkiem do ceremoniału, lecz jego

integralną częścią. Nieznajomość właściwych kodów oznaczała nie tyle kłopot praktyczny, co niemożność uczestniczenia w mechanizmach władzy.

Fiasko Lee można opisać jako porażkę obecności. Był wysłannikiem, lecz nie stał się rozmówcą; fizycznie obecny, a politycznie niewidoczny. Nie mógł prowadzić bezpośrednich rozmów z ministrami i dworzanami, swobodnie uczestniczyć w salonach ani odczytywać nieformalnych sygnałów i niuansów przekazu. Zmuszony do korzystania z tłumaczy i pośredników, oddał część swojej sprawczości. Tłumacz bywa niezbędny, ale nigdy nie jest niewidzialny – zawsze filtruje słowo, ton, intencję, a czasem i lojalność. Najgorsze w tej sytuacji nie jest jednak to, że dyplomata mówi cudzymi ustami, lecz to, że nie wie, co traci.

Człowiek nieznający języka nie słyszy aluzji, nie rozpoznaje różnicy między uprzejmą odmową a zaproszeniem do dalszej gry i nie odczytuje ironii. W dyplomacji prowadzi to do katastrofy poznawczej. Błąd językowy staje się błędem epistemologicznym: państwo nie tylko źle mówi, ale źle wie. Misja Lee dowodzi, że suwerenność polityczna wymaga kompetencji komunikacyjnej. Można być przedstawicielem państwa o własnych interesach i argumentach, lecz jeśli nie potrafi się wejść w lokalną ekologię języków, pozostaje się petentem stojącym za szybą. Stare dwory Europy mogły nie odmówić wprost, zachowując formy grzeczności i udając zainteresowanie.

Strategiczna niedoskonałość jako narzędzie legitymizacji

Prawdziwa gra toczyła się jednak bez udziału człowieka, który nie posiadał kodu dostępu. Polityka nie zawsze wyklucza brutalnie; czasem czyni to elegancko, kontynuując rozmowę w języku, którego przybysz nie rozumie. Na tym tle Benjamin Franklin w Paryżu jawi się jako przeciwieństwo Lee, choć nie dlatego, że był idealnym frankofonem. Właśnie nie był. Jego francuszczyzna pozostawała ograniczona, nieakademicka, momentami wręcz nieporadna. A jednak odniósł sukces, ponieważ rozumiał coś ważniejszego niż poprawność: społeczną funkcję własnej niedoskonałości. Potrafił przekształcić ograniczenie w styl.

Z notatek źródłowych wynika, że Franklin świadomie budował wizerunek „republikańskiego mędrca", czyniąc z prostoty języka znak cnoty, autentyczności i dystansu wobec monarchicznego przepychu. To jeden z najciekawszych przykładów dyplomatycznej inteligencji kulturowej. Franklin nie próbował udawać francuskiego arystokraty – gdyby to zrobił, prawdopodobnie przegrałby z kretesem, gdyż Europa miała wystarczająco wielu mistrzów salonowego poloru. Zamiast tego zaproponował paryskim elitom inną figurę: prostego i mądrego republikańskiego filozofa z Nowego

Świata. Jego niedoskonały francuski przestał być brakiem, a stał się elementem roli. Mówiąc nieporadnie, potwierdzał, że nie jest produktem dworskiej sztuczności. Był egzotyczny, lecz nie barbarzyński; prosty, ale nie prostacki; inny, a jednocześnie użyteczny dla francuskiej wyobraźni politycznej. To była niezwykle subtelna gra.

Franklin nie odrzucił języka francuskiego, gdyż oznaczałoby to pozostanie poza rozmową, ale nie podporządkował się też całkowicie jego arystokratycznej normie. Użył go tak, by zakwestionować część prestiżu, który ten język niósł. Innymi słowy, wszedł do francuskojęzycznego salonu, ale nie na kolanach. Przyniósł własną postać. Jego językowe uchybienia odczytano nie jako defekt edukacyjny, lecz jako urok republikańskiej autentyczności. To nie była gramatyka, to była strategia. Franklin udowodnił, że kompetencja językowa nie zawsze oznacza doskonałą poprawność, lecz zdolność użycia języka stosownie do celu, sytuacji i własnej pozycji. William Lee nie posiadał ani narzędzia, ani strategii. Franklin dysponował narzędziem niedoskonałym, ale strategią wybitną. Jeden nie wszedł do gry; drugi zmienił reguły swojego wejścia.

To różnica między człowiekiem, który nie zna języka, a tym, który zna siłę języka. Przypadek Franklina pokazuje, że język dyplomacji zawsze wiąże się z teatrem reprezentacji. Dyplomata nie tylko przekazuje stanowisko – on ucieleśnia państwo. W epoce, gdy Stany Zjednoczone dopiero walczyły o uznanie, osobowość Franklina stała się częścią dyplomatycznej marki republiki. Jego prostota, ubiór, sposób bycia oraz styl mówienia i pisania – włącznie z błędami – współtworzyły obraz nowego państwa. W oczach francuskich elit Ameryka mogła dzięki niemu jawić się jako przestrzeń naturalnej cnoty, antydworskiej mądrości i politycznej świeżości. Oczywiście był to obraz stylizowany, ale dyplomacja nie jest seminarium z socjologii prawdy. Jest sztuką takiego stylizowania prawdy, aby stała się politycznie skuteczna. Franklin rozumiał francuskie pragnienia symboliczne: wspierając amerykańską sprawę, Francja mogła skutecznie osłabić Wielką Brytanię.

Językowa asymetria jako narzędzie uznania suwerenności

To był twardy interes, ale sam w sobie potrzebował kulturowej opowieści. Franklin tę opowieść dostarczył. Jako człowiek z Nowego Świata – uczony, filozof, republikanin i sympatyczny barbarzyńca cywilizacji – pozwalał francuskim elitom widzieć w amerykańskiej sprawie coś więcej niż tylko geopolityczny manewr. Język stał się tu medium fascynacji. Nie chodziło o perfekcyjną francuszczyznę, lecz o wersję „franklinowską”: wystarczającą, osobliwą i wdzięczną, idealnie wpisującą się w jego rolę. Przywołany motyw przeprosin za błędy językowe i odpowiedź Madame de Brillon, która dostrzegała w nich urok neologizmów oraz pewną pikanterię, to nie tylko salonowa

ciekawostka. To miniatura całego mechanizmu: błąd językowy, który u jednego człowieka kompromituje, u innego może działać jako podpis stylu. Wszystko zależy od pozycji, kontekstu i narracji.

Lee był niekompetentny, ponieważ brak biegłości językowej odcinał go od realnego działania. Franklin bywał niedoskonały, ale pozostał sprawczy, gdyż jego braki pracowały na wizerunek. Można rzec, że uprawiał dyplomację językowej asymetrii. Nie próbował dorównać francuskiemu salonowi na jego własnych warunkach; zamiast tego uczynił swoją odmienność przedmiotem zainteresowania. W ten sposób nie zniósł hierarchii, lecz ją obejście. Paryż mógł patrzeć na niego z pewną protekcjonalną sympatią, jednak ta sympatia była politycznie użyteczna. Czasem droga do wpływu prowadzi nie przez wymuszenie szacunku, lecz przez tak inteligentne rozegranie cudzych wyobrażeń, że stają się one zasobem. Franklin pozwolił Francuzom zachwycić się Ameryką w sposób francuski i właśnie dzięki temu mógł skutecznie działać. Kontrast między Lee a Franklinem obnaża zasadniczą prawdę o dyplomacji młodego państwa.

Suwerenność nie jest jedynie stanem prawnym, lecz przede wszystkim relacją uznania. Państwo może uważać się za suwerenne, ale inni muszą zacząć traktować je jako pełnoprawnego uczestnika gry. Uznanie to nie dokonuje się wyłącznie poprzez akt formalny; odbywa się ono przez włączenie do obiegu rozmów, ceremoniałów, listów i sieci informacyjnych. Język jest tu instrumentem inicjacji. Kto go nie zna, pozostaje jedynie kandydatem. Kto go opanuje, staje się partnerem. Kto zaś opanuje go twórczo, może narzucić własny obraz. Amerykanie musieli zrozumieć, że republikańska nowość nie zwalnia z przestrzegania starych kodów dyplomacji. Przeciwnie: im bardziej nowe państwo jest niepewne w oczach innych, tym lepiej musi rozumieć cudze formy uznania – nie po to, by się w nich rozpuścić, lecz by wykorzystać je dla własnej sprawy. Franklin był mistrzem takiej adaptacji; Lee zaś przykładem kosztów jej braku. Jeden potraktował język jako pole kreacji politycznej, drugi został przez niego pokonany.

Język jako warunek legitymizacji nowej suwerenności

W tej historii uwidacznia się napięcie między republikańskim projektem a arystokratycznym kodem. Stany Zjednoczone, niosąc ideę republiki, zabiegały o pomoc w świecie monarchii; musiały zatem komunikować swoje wartości polityczne w środowisku rządzonym przez zupełnie inne nawyki formy. Było to zadanie trudniejsze niż zwykły przekład. Nie wystarczyło przetłumaczyć słów „wolność”, „republika” czy „niepodległość” na język francuski – należało sprawić, by pojęcia te brzmiały atrakcyjnie dla ludzi myślących kategoriami dworu, sojuszy, równowagi sił i honoru monarchii. Przekład jest tu negocjacją świata, nie tylko słownika.

Strategia Franklina dowiodła, że język może służyć nie tylko asymilacji, lecz także subwersji. Mówiąc po francusku, lecz nie całkiem po francusku, Franklin potwierdzał obecność Ameryki w europejskim kodzie, a jednocześnie sygnalizował jej odrębność. Jego język był wystarczająco francuski, by być zrozumiałym, i wystarczająco niefrancuski, by budzić zainteresowanie.

To subtelna równowaga: zbyt mała znajomość języka prowadzi do izolacji, natomiast całkowite wtopienie się w cudzą normę grozi zatraceniem własnej wyjątkowości. Franklin odnalazł środek: komunikacyjną dostępność bez symbolicznej kapitulacji. Przypadek amerykański pokazuje, że język dyplomacji stanowi element miękkiej infrastruktury państwowości. Nowe państwo potrzebuje armii, finansów i instytucji, ale potrzebuje również ludzi zdolnych reprezentować je w różnych światach. Bez nich suwerenność pozostaje jedynie wewnętrzną deklaracją. Dyplomata jest tłumaczem państwa na język cudzej wyobraźni politycznej. Jeśli tłumaczy źle, państwo jawi się jako niedojrzałe; jeśli robi to sprawnie, nawet słabszy gracz może zyskać nadmiarową obecność symboliczną. Franklin zapewnił Ameryce właśnie taką obecność.

W tym miejscu powraca kwestia pośredników. Lee, nie znając języków, był całkowicie zależny od osób trzecich. Franklin, mimo braku perfekcji, mógł działać samodzielnie w kluczowych momentach. Różnica tkwi w kontroli znaczenia. Dyplomata mówiący we własnym imieniu może ryzykować błąd, lecz pozostaje właścicielem tego błędu. Ten zależny od tłumacza ryzykuje błąd cudzy, którego może nawet nie zauważyć. W dyplomacji jest to różnica zasadnicza: własną niedoskonałość można rozegrać strategicznie, podczas gdy cudzy filtr bywa niewidoczny aż do chwili katastrofy.

Nie oznacza to, że tłumacze byli zbędni – w systemie dyplomacji nowożytnej byli niezbędni. Jednak przypadek amerykański uczy, że zależność od tłumacza różni się od świadomego korzystania z jego usług. Dyplomata kompetentny językowo używa tłumacza jako wsparcia i narzędzia precyzji; dyplomata niekompetentny jest przez niego zastępowany. A kto w komunikacji zostaje zastąpiony, ten częściowo znika z polityki. Stany Zjednoczone musiały zatem dokonać przyspieszonej profesjonalizacji dyplomatycznej. Nie mogąc oprzeć się na tradycji dworskiej edukacji, improwizowały i korzystały z talentów jednostek, ucząc się w działaniu. Franklin był takim talentem, podobnie jak John Quincy Adams.

Ten ostatni, dzięki europejskiej edukacji, opanował francuski, łacinę, niemiecki i częściowo niderlandzki, co otworzyło mu drogę do kariery dyplomatycznej. Jego przykład ukazuje instytucjonalny wymiar problemu: młoda republika potrzebowała kadr zdolnych konkurować w Europie nie tylko argumentem, ale i kompetencją. Adams reprezentuje przejście od genialnej improwizacji do profesjonalizmu. Franklin był fenomenem, którego nie da się skopiować, a państwo nie może budować dyplomacji wyłącznie na charyzmatycznych wyjątkach. Potrzebuje

systemu kształcenia ludzi potrafiących poruszać się między językami, prawem i kulturą. Bariera językowa stała się dla Stanów Zjednoczonych lekcją instytucjonalną: państwo obecne w świecie musi wykształcić własnych poliglotów politycznych – nie tylko biegłych w mowie, ale rozumiejących, co język robi z relacją władzy.

Kontrast między Lee, Franklinem i Adamsem pozwala wyróżnić trzy modele kontaktu z obcym językiem. Lee reprezentuje model braku, gdzie nieznajomość prowadzi do wykluczenia. Franklin uosabia model twórczej niedoskonałości: ograniczoną kompetencję, która wsparta inteligencją kulturową staje się atutem. Adams reprezentuje model profesjonalny, w którym szeroka edukacja językowa stanowi stały kapitał kariery państwowej. Każdy z tych modeli obrazuje drogę młodego państwa: od improwizowanej walki o uznanie po dojrzałą obecność międzynarodową.

W przypadku USA język był także narzędziem budowania różnicy cywilizacyjnej. Amerykanie nie chcieli być kolejnym europejskim dworem; ich republikańska tożsamość wymagała odrębności, która jednak nie mogła oznaczać niezrozumiałości. To napięcie jest uniwersalne dla każdego nowego aktora w starym systemie: trzeba mówić na tyle cudzym językiem, by zostać uznanym, i na tyle własnym tonem, by nie zostać wchłoniętym.

Sprawność semiotyczna jako warunek suwerenności

Franklin rozumiał to intuicyjnie. Jego sukces polegał na wykreowaniu postaci przekładalnej na francuskie wyobrażenia, która jednocześnie nie redukowała się do francuskiej normy. Można zaryzykować tezę, że wczesna dyplomacja amerykańska była dyplomacją tłumaczenia niepodległości. Niepodległość jako fakt wojenny i polityczny musiała zostać przełożona na język europejskiego interesu, salonowej sympatii, oświeceniowej filozofii i dworskiego uznania, a głównym medium tego przekładu stał się język francuski.

Bez niego amerykańska sprawa mogła pozostać jedynie lokalnym konfliktem imperialnym. Dzięki niemu zyskała wymiar polityczny, filozoficzny i międzynarodowy. Nie oznacza to, że francuski „stworzył" niepodległość Stanów Zjednoczonych, lecz pomógł uczynić ją czytelną dla Europy. W polityce międzynarodowej czytelność jest zasobem: państwo, którego inni nie potrafią zaklasyfikować, budzi nieufność; państwo zaś, które potrafi opisać siebie w kategoriach zrozumiałych dla innych, zyskuje szansę na uznanie. Jeśli przy tym zachowa własną odrębność, zdobywa coś więcej: podmiotowość symboliczną.

Przypadek Amerykanów uwidacznia kluczową różnicę między językiem jako narzędziem komunikacji a językiem jako narzędziem legitymizacji. Komunikacja to przekazanie treści;

legitymizacja zaś sprawia, że odbiorca uznaje mówiącego za uprawnionego uczestnika rozmowy. Lee nie osiągnął nawet pełnej komunikacji. Franklin osiągnął legitymizację. Adams reprezentował już kompetencję, która mogła stać się powtarzalnym zasobem państwa.

To trzy stopnie wtajemniczenia, a wnioski z nich płynące wykraczają poza historię jednego kraju. Każdy nowy aktor w systemie międzynarodowym staje przed podobnym dylematem: musi opanować język dominującego obiegu, nie pozwalając mu jednak całkowicie zdefiniować własnej tożsamości. Musi korzystać z kodu prestiżu, nie stając się jego zakładnikiem. Musi tłumaczyć siebie, ale nie może zostać przetłumaczony do zera.

Wczesna dyplomacja Stanów Zjednoczonych stanowi zatem laboratorium ogólnej zasady: suwerenność polityczna potrzebuje sprawności semiotycznej. Nie wystarczy istnieć – trzeba znaczyć. Język komunikacji był elementem władczym nawet dla państwa, które dopiero domagało się miejsca przy stole. Francuski otwierał drzwi do europejskiego dyskursu, lecz inteligencja dyplomatyczna polegała na tym, by z tego dostępu korzystać bez utraty własnej narracji. Franklin dowiódł, że nawet niedoskonałość językowa może stać się atutem, jeśli zostanie wpisana w przekonujący obraz polityczny. Lee pokazał, że brak języka odbiera sprawczość, a Adams – że długofalowo państwo musi zamienić językową improwizację w kompetencję kadrową.

Stany Zjednoczone weszły do europejskiej dyplomacji nie tylko dzięki traktatom i sojuszom, ale również poprzez naukę języka uznania. To cenna lekcja: świat nie przyjmuje nowego państwa dlatego, że ono samo ogłosiło swoje istnienie, lecz wtedy, gdy zaczyna z nim rozmawiać jak z podmiotem. Aby tak się stało, trzeba znać nie tylko własną rację, ale i cudzy język, formę, teatr oraz wyobraźnię. Dopiero wtedy można zrobić rzecz najtrudniejszą: powiedzieć coś własnego tak, by inni nie mogli udawać, że nie usłyszeli.

> W ostatecznym rozrachunku nowożytna dyplomacja uczy nas, że suwerenność bez zdolności komunikacji jest jedynie dumną samotnością w narodowym mundurze. Prawdziwa władza nie zaczyna się od podpisu pod traktatem, lecz od momentu, w którym potrafimy narzucić własny ton rozmowy lub inteligentnie rozegrać cudzą wyobraźnię. Czy zatem w dzisiejszym świecie zdominowanym przez cyfrowe translatory wciąż istnieje miejsce na tę subtelną sztukę przełączania kodów, która kiedyś decydowała o losach prowincji i imperiów?

Inspiracje

[1] 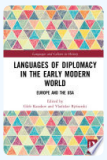

"Languages of Diplomacy in the Early Modern" Gleb Kazakov

2026 | Routledge | ISBN: 9781040844083

Gleb Kazakov jest historykiem specjalizującym się w przednowoczesnej historii Europy Wschodniej oraz historii dyplomacji. Studiował historię i skandynawistykę w Moskwie i Getyndze, a następnie w 2019 roku obronił doktorat na Uniwersytecie Alberta Ludwika we Fryburgu. Jego rozprawa dotyczyła europejskiej dyplomacji i medialnego postrzegania powstania moskiewskiego z 1682 roku. Od 2019 roku jest asystentem naukowym w Katedrze Historii Europy Wschodniej na Uniwersytecie Justusa Liebiga w Gießen w Niemczech. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię społeczną języków, praktyki dyplomatyczne oraz historię środowiska i życia codziennego późniejszego Związku Radzieckiego. Brał udział w różnych projektach naukowych i publikacjach, w tym był współredaktorem tomu z 2026 roku „Języki dyplomacji we wczesnej epoce nowożytnej: Europa i USA".

Gleb Kazakov *is a historian specializing in the pre-modern history of Eastern Europe and diplomatic history. He studied history and Scandinavian studies in Moscow and Göttingen before receiving his doctorate from the Albert Ludwigs University of Freiburg in 2019, with a thesis focusing on European diplomatic and media perceptions of the 1682 Moscow streltsy uprising. Since 2019, he has served as a research assistant at the Chair of Eastern European History at Justus Liebig University in Gießen, Germany. His research interests include the social history of languages, diplomatic practices, and the environmental and everyday history of the later Soviet Union. He has contributed to various academic projects and publications, including co-editing the 2026 volume "Languages of Diplomacy in the Early Modern World: Europe and the USA."*

Justus Liebig University Gießen

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:

[1] **"Die Moskauer Strelitzen-Revolte 1682"**

Gleb Kazakov

2022 | ISBN: 9783515129817

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[2] **"The Practice of Diplomacy"**

François De Callières

[3] **"Notes on Muscovite Affairs"**

Sigismund Von Herberstein

[4] **"The duplicate letters, the fisheries and the Mississippi. Documents relating to transactions at the negotiation of Ghent"**

John Quincy Adams

[5] **"The Material Letter in Early Modern England"**

J. Daybell

2012 | Springer | ISBN: 9781137006066

[6] **"Challenges of the Modern Economy"**

Yakhya G. Buchaev, Arsen S. Abdulkadyrov, Julia V. Ragulina, Arutyun A. Khachaturyan, Elena G. Popkova

2023 | Springer Nature | ISBN: 9783031293641

[7] **"The Position of the German Language in the World"**

Ulrich Ammon

2019 | Routledge | ISBN: 9781351654890

[8] **"Latin Jurgen Leonhardt"**

[9] **"Diplomacy and the Modern Novel Isabelle Daunais"**

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "3 Language Use Among the Russian Aristocracy: The Case of the Counts Stroganov"

Vladislav Rjéoutski, Vladimir Somov

2015 | Edinburgh University Press eBooks | DOI: 10.1515/9780748695522-008

Google Scholar

[2] "The Functions and Value of Foreign Languages in Eighteenth-Century Russia"

Gesine Argent, Derek Offord, Vladislav Rjéoutski

2015 | The Russian Review | DOI: 10.1111/russ.10752

Google Scholar

[3] "The French Language in Russia"

Derek Offord, Vladislav Rjéoutski, Gesine Argent

2018 | Amsterdam University Press eBooks | DOI: 10.1515/9789048532766

Google Scholar

[4] "Popular Culture in Early Modern Europe"

Howard M. Solomona, Peter Burke

1979 | The American Historical Review | DOI: 10.2307/1904640

Google Scholar

[5] "Languages and Communities in Early Modern Europe"

Peter Burke

2004 | Cambridge University Press eBooks | DOI: 10.1017/cbo9780511617362

Google Scholar

[6] "Cultural Translation in Early Modern Europe"

Peter Burke, Peter Burke, Peter Burke, Peter Burke, Peter Burke

2007 | Cambridge University Press eBooks | DOI: 10.1017/cbo9780511497193

Google Scholar

[7] "2. Early Developments in Diffraction Theory"

Klaus Helbig, Franciscus Maria Grimaldi, Christiaan Huygens, Thomas Young

2016 | Classical and Modern Diffraction Theory | DOI: 10.1190/1.9781560803232.ch2

Google Scholar

[8] "Why Are Creation and the Deluge Important Today?"

Benjamin Franklin Allen

2021 | Early Creationist Journals | DOI: 10.4324/9781003005902-31b

Google Scholar

[9] "Early Modern Mathematical Principles and Symmetry Arguments"

James Franklin

2017 | The Idea of Principles in Early Modern Thought | DOI: 10.4324/9781315452692-2

Google Scholar

[10] "A Generational Approach to Using Emoticons as Nonverbal Communication"

Franklin B. Krohn

2004 | Journal of Technical Writing and Communication | DOI: 10.2190/9eqh-de81-cwg1-qll9

Google Scholar

[11] "More than Words on a Page: Letters as Substitutes for an Absent Writer"

Arnold E. Franklin

2014 | Jews, Christians and Muslims in Medieval and Early Modern Times | DOI: 10.1163/9789004267848_019

Google Scholar

[12] "Examining linguistic proficiency in the multilingual glocal workplace: a Malaysian case study"

Sze Seau Lee, Yew Lie Koo

2015 | Language and Intercultural Communication | DOI: 10.1080/14708477.2014.985305

Google Scholar

[13] "More Evidence that Research With Captive Marine Mammals Is Important: An Introduction to the Second Special Issue"

Stan A. Kuczaj II

2010 | International Journal of Comparative Psychology | DOI: 10.46867/ijcp.2010.23.04.15

Google Scholar

[14] "Predestination in Early Modern Thought"

Charles Raith II

2019 | John Calvin in Context | DOI: 10.1017/9781108687447.030

Google Scholar

[15] "Early Applications"

J. G. Weisend II

2023 | Superfluid | DOI: 10.1007/978-3-031-42652-0_8

Google Scholar

[16] "More in Expectation than Hope: The Blackpool Airport Case"

John N. Adams, Roger Brownsword

1991 | The Modern Law Review | DOI: 10.1111/j.1468-2230.1991.tb02653.x

Google Scholar

[17] "Protein interactions important to SYNGAP1-related conditions; and more"

Jill Adams

2025 | The Transmitter | DOI: 10.53053/hjay7101

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 0dce38be-369e-4d4d-b2b5-d9b024d9fd5d